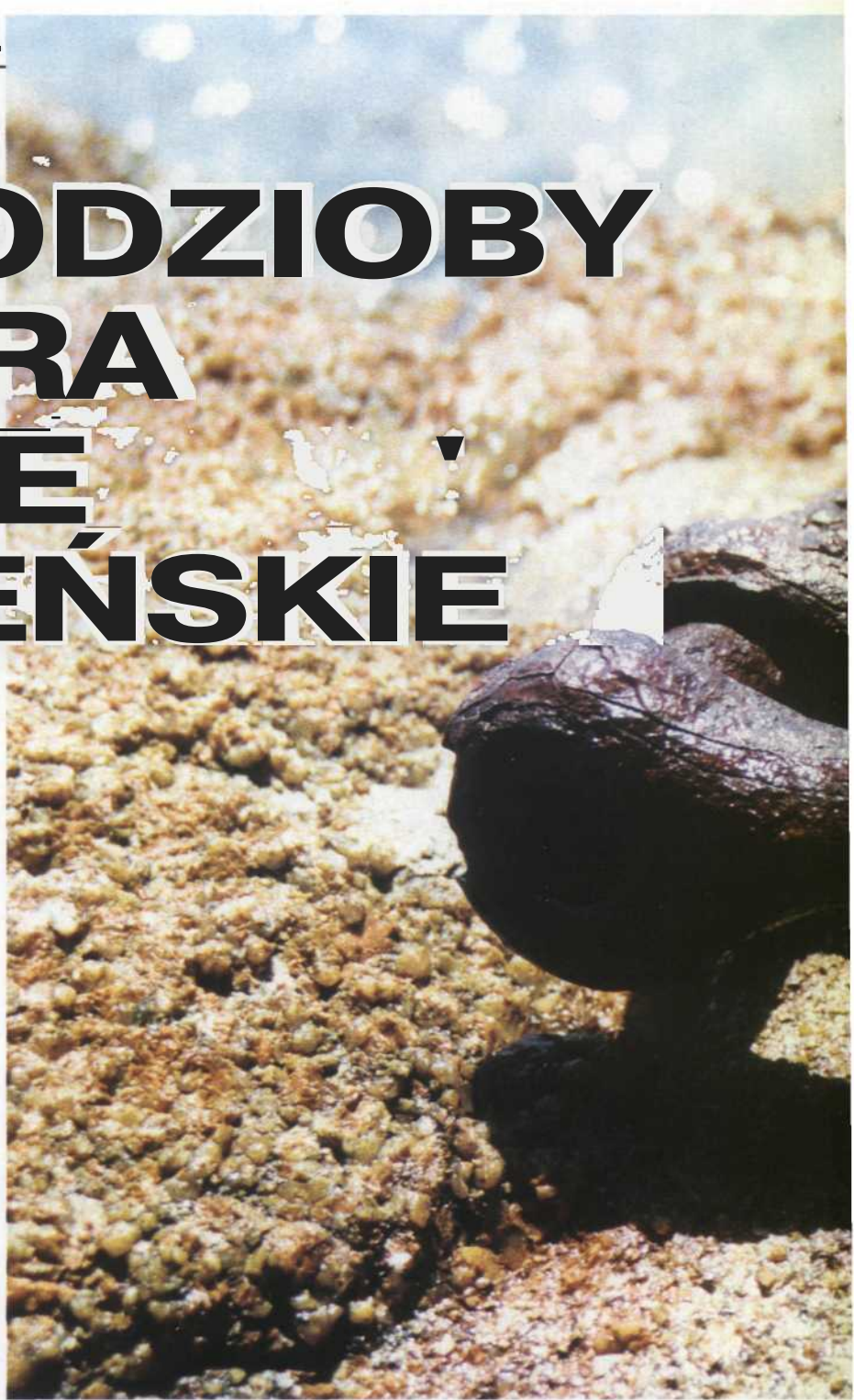


ŻÓŁTODZIOBY KONTRA MORZE TYRREŃSKIE



Agnieszka „Agawa” Czernek

13 lipca oddaliśmy cumy. My, żeglarze szuwarowo-bagienni, (oczywiście oprócz kapitana i pierwszego), wzięliśmy kurs na Korsykę! Słońce przyjaźnie nas ogrzewało, dla odmiany przyjemny wiatr o sile 2°B chłodził, woda, której odcieniom turkusu nie mogliśmy się nadziwić, miło chlupotała... Nic nie zapowiadało tego, co miało nadejść następnego dnia...

14 lipca Wiatr stawał się coraz silniejszy, a my coraz bardziej mokrzy od docierających wszędzie rozbryzgów fal. Po południu zgodnie orzekliśmy, że wieje 7°B i wcale nie zamierza wiać mniej. Niektórym od razu zrobiło się gorzej i tak już zostało. Sceneria dookoła nas przypominała film grozy.

Ogromne fale w świetle księżyca w pełni. Nasz Carter 30 zachowywał się jednak dzielnie, nie odbierając nam poczucia bezpieczeństwa. Wytrwale wspinał się na fale i z lubością z nich zjeżdżał, zupełnie jak w lunaparku. Neptun igrał z nami do późnej nocy i skończył bujaniem na martwej fali.



Patetycznie zardzewiałe ucho cumownicze w Porcie Szczurów

15 lipca. Góra-dół, góra-dół i tak do świtu. Wiatr zdechł w zupełnie nieodpowiednim momencie - gdy ukazały się nam wyęsknione brzegi Korsyki. W planach był port Bonifacio na południu wyspy, ale brak wiatru, późna pora i labirynt wysp archipelagu La Maddalena, zmusiły nas do wybra-

nia Porto Vecchio, leżącego bardziej na północ. Wpłynęliśmy do mariny, gdzie od razu zajęła się nami obsługa. Należy w tym miejscu uprzedzić zainteresowanych, że francuska odmiana angielskiego jest mniej zrozumiała niż polska. Po dokonaniu czynności niezbędnych do egzystowania w cywilizowa-

nym porcie - prysznic i toalety były płatne, wodę można było tankować z kranów na kei - rozprzecziliśmy się w poszukiwaniu lądowych wrażeń. Miasteczko urocze, do późna w nocy tętniące życiem. Na wzniesieniu ulokowało się historyczne centrum, z którego roztaczał się piękny widok na



Widok z kotwicowiska na Porto Cervo

port. Poza tym mnóstwo tam tajemniczych zakamarków z restauracyjnymi ogródkami wabiącymi przechodniów muzyką, niczym syrenim śpiewem. Z żalem wracaliśmy na jacht mając w perspektywie wczesną pobudkę.

16 lipca Popłynęliśmy na południe. Nadzieje na Bonifacio znów się rozwiały w tężejącym wietrze. W dyszy między Korsyką a Sardinią duło naprawdę mocno. Rzucani na falach, walczący z ciekącym forlukiem, dotarliśmy do Porto Cervo na Sardynii. Zatoka, do której wpłynęliśmy, ma dwie odnogi. W jednej (po lewej od wejścia) jest keja, w drugiej (na wprost) marina, a tuż przy

wejściu - kotwicowisko (oblegane ze względu na ceny przy kei i w marinie). Tutaj również zajęła się nami obsługa. Tym razem jednak „czatowali” na nas na pontonach już u wejścia do zatoki (ponieważ marina i keja konkurowały ze sobą) coś krzycząc, machając rękoma i z trudem utrzymując równowagę.

Port sprawiał wrażenie puebla w kolorze łososiowym. Bez regularnych ulic, za to z poziomami, które można było pokonywać korzystając z labiryntu schodów, bram i krętych uliczek. Nie trzeba było mieć żyłki poszukiwacza, żeby odkryć niezliczone restauracje, butiki, sklepy żeglarskie, tajemnicze zakątki i ścieżki prowadzące do nikąd albo, jak się

czasem niespodziewanie okazywało, do prywatnego mieszkania.

17 lipca. Aby nie sprzedawać jachtu celem regulowania rachunku za postój, trzeba było stanąć na kotwicowisku (nie wyszliśmy z zatoki ze względu na bardzo silny wiatr). Przed oddaniem cum poznaliśmy parę sympatycznych Włochów (mówili po angielsku). W trakcie bardzo serdecznej rozmowy toczonej na naszym jachcie (ich był ściśle dwuosobowy) podzielili się z nami swoim doświadczeniem i przeżyciami, użyli dokładniejszej locji i poradzili, gdzie warto, a gdzie nie warto płynąć. Spotykaliśmy ich później w niektórych z wymienionych przez nich miejsc. Przyszedł w końcu czas naszego odejścia od kei na rzeczne kotwicowisko, więc pożegnaliśmy naszych znajomych i oddaliśmy cumy.

18 lipca. Opuściliśmy Porto Cervo i obraliśmy kurs na Caprerę - jedną z wysp archipelagu La Maddalena, między Korsyką a Sardinią). Rzuciliśmy kotwicę w zatoce Porteza. Natura nie jest tutaj rozrzutna. Otoczenie przypomina trochę nasze Tatry (wyższe partie). Mnóstwo skat ze skąpą roślinnością. Jedyne bogactwo zatoki stanowiły niezliczone jachty i także ciżba ludzi na nich przebywających.



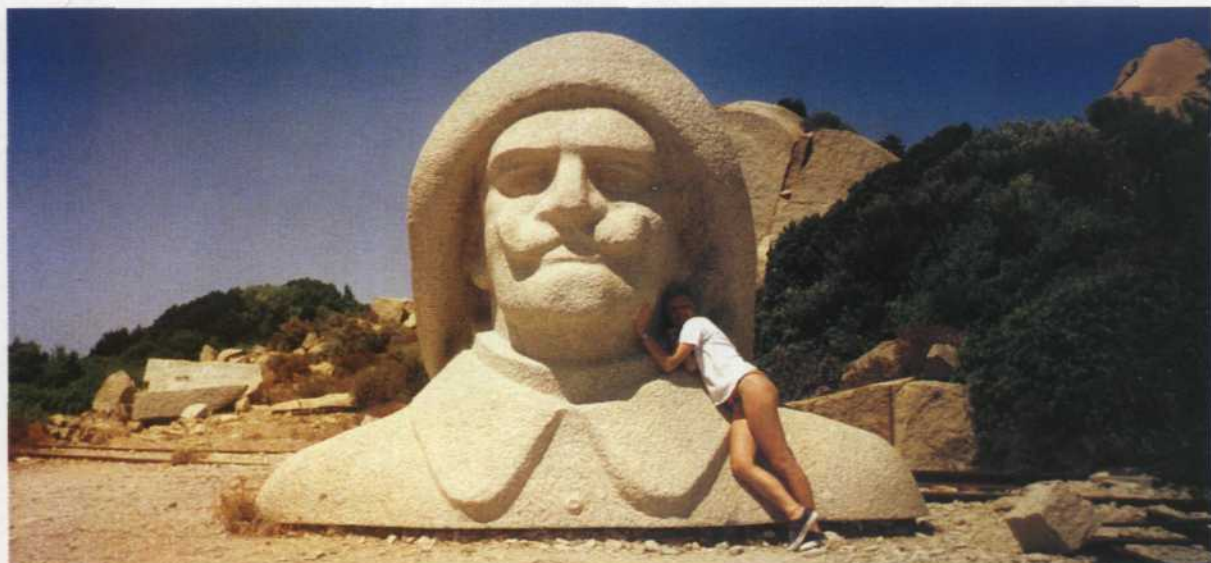
19 lipca. Następna na trasie była wyspa St. Stefano z zatoką Di Villamarina. U wejścia zatoki minęliśmy wojskowy ponton z bazy po drugiej stronie wyspy. Od jego załogi dowiedzieliśmy się, że oprócz owej bazy, na wyspie znajduje się jeszcze kurort z mariną, ruiny fortecy i opuszczony kamieniołom z portem.

Do ruin wybraliśmy się na popołudniowy spacer. Wiedzie do nich asfaltowa droga, potem wśród niskich krzewów ścieżka, którą ruszyliśmy na podbój fortecy. Wdrapaliśmy się najwyżej jak było można i podziwialiśmy widoki. Następnie ruszyliśmy na eksplorację bliższej okolicy. Za małym wzniesieniem ukazał się nam opuszczony kamieniołom. Dookoła porozrzucane resztki zardzewiałych szyn i wagoników oraz niedokończony pomnik, jakoby niedoszły pomnik zięcia Mussoliniego!

Pobliski port zrobił na nas niezapomniane wrażenie - opuszczone budynki i zardzewiałe maszyny. Mroczną tajemnicą tego miejsca okazała się niezliczona mnogość szczurów, które ujawniły się dopiero w nocy. Zmusiły nas do zakotwiczenia z dala od brzegu. W chwilę po naszym odejściu od nadbrzeża, z cumującego nieopodal jachtu dat się słyszeć przenikliwy wrzask, po czym ów jacht również oddalił się od brzegu. Opuszczony port nazwaliśmy Portem Szczurów.



Zardzewiała tajemnica w Porcie Szczurów, na drugim planie - cytadela



Niedokończony pomnik - ponoć zięcia Mussoliniego

Po lewej: wyspa St. Stefano. Zatoka di Villamarina, a dla nas po prostu Port Szczurów. Powyżej kamieniołom



...naszym oczom ukazał się klif z wciśniętymi weń zabudowaniami i cytadelą... - Bonifacio



Malutki, bajecznie kolorowy Porto Giglio na wyspie o tej samej nazwie

20 lipca. Rano na kursie mieliśmy Palau, port na północnym brzegu Sardynii. Po zacięciu wycieczki poświęciliśmy czas na szaleństwo zakupowe. Ileż tam było sklepów żeglarskich! Zupełnie jakby Palau było centrum zaopatrzenia żeglarzy. Z pełnymi bakistami i bakami ruszyliśmy na kotwiczowisko, w stronę trzech wysp: St. Maria, Razzoli i Budeli.

21 lipca. Był to dzień, w którym podjęliśmy „walkę” o spełnienie marzeń... czyli Bonifacio. I nadszedł w końcu moment triumfu. Oczom naszym ukazał się klif z wciśniętymi weń zabudowaniami i cytadelą oraz jaskiniami na poziomie wody. Bonifacio usytuowane jest na końcu długiej zatoki przypominającej fiord. Ścisk i duży ruch w porcie

wymagały wprawnego oka w poszukiwaniu wolnego miejsca. W końcu padło sakramentalne „tak stoimy”. Robimy krótki rekonasans - opłata portowa umiarkowanie wysoka, krany z wodą na kejach, sanitariaty płatne. Miasteczko urocze, z górującą nad miastem cytadelą. Niezwykłe wrażenie wywiera jego ciasna zabudowa, wciśnięty między wąskie uliczki kościół romański. Jakby czas zatrzymał się w miejscu.

22 lipca. Opuszczając Bonifacio płynęliśmy przez chwilę w towarzystwie delfinów! Jakież było poruszenie na pokładzie, a następnie jeszcze większe pod pokładem, kiedy nastąpiło gorączkowe poszukiwanie aparatów fotograficznych. Próby uwiecznienia tego wydarzenia spełzły jednak na niczym, ponieważ delfiny zawróciły, aby eskortować kolejny jacht wypływający z Bonifacio. Wiatr niedługo potem zgasł i musieliśmy „obudzić” silnik. Nocowaliśmy kotwicząc w zatoce Rondinaria na

południe od Porto Vecchio. Czuliśmy się trochę jak na planie, z którego zdjęto dekoracje i zostawiono tylko nagie strome skaty i wodę.

23 lipca. Przed nami, za nami i pod nami ogrom wody, nad nami upiornie gorące słońce i brak wiatru. Wysiedzieć na pokładzie się nie dawało, pod nim też nie było najlepiej. Wachty z dwuosobowych zmieniono na jednoosobowe, ale za to krótsze. Jedynie nocna wachta dawała złudne wytchnienie od upału. Pokład był słono-wilgotny, takie samo było powietrze. Nagradzała te niedogodności możliwość podziwiania fosforyzujących meduz, spokojne morze i lekkie powiewy wiatru.

24 lipca. W dzień ukazała się nam w dali wyspa Montecristo. Objęta ścisłą ochroną stanowiła dla nas jednak „owoc zakazany”. Upał dawał się wszystkim we znaki. Niektórzy przypomnieli sobie nawet o swoich talentach muzycznych, co zgromadzone audytorium nie zawsze przyjmowało ze zrozumieniem. Po zmierzchu ujrzeliśmy światła latarni

na wyspie Giglio, która stała się odtąd naszym drogowskazem.

26 lipca. Chwilę po wschodzie słońca minęliśmy latarnię, która prowadziła nas całą noc i wpłynęliśmy do Porto Giglio. Mały porcik okazał się bajecznie kolorowy i załoczony ponad miarę. Uzupełniliśmy paliwo, wodę i zapasy „świeżyzny”. Pysznice (na żeton) znaleźliśmy w pobliskim hotelu. Publiczne umywalnie były ukryte w zakamarkach portu. Wieczorem - małe „sklepowe” szaleństwo. Później spoczęliśmy na nadbrzeżnych ławeczkach. Podziwialiśmy sprawnie manewrujące promy... To był ostatni wyspiarski port.

27 lipca. Zawinęliśmy do Ercole, portu na zachodnim brzegu Włoch, na północ od Rzymu. Miejsce, które uznaliśmy za pozbawione charakteru.

29 lipca. Zaliczyliśmy nocne wejście do Civitavecchi, na południe od Ercole. Port robi niesamowite wrażenie. Długie wejście

przypomina „dwupasmówkę” - mieni się światłami, wokół płątani na rur, ciągły ruch na terminalach promowych. Na samym końcu, pod ruinami baszty przycupnięta jest prywatna keja. Zacumowaliśmy do niej za niewielką opłatą. Na kei są prysznic i krany, sanitariaty - w mieście. Sama Civitavecchia przywodziła na myśl Oran z „Dżumy” Camusa. Beładna zabudowa, ruch na terminalach i bezruch w mieście. Mimo to brzydota tego miejsca miała w sobie coś urzekającego. Może dlatego zostaliśmy tam jeszcze jeden dzień.

31 lipca. Początek zbiegł się z końcem. Wpłynęliśmy do Fumicino Cita. Chwila oczekiwania na otwarcie mostu i po zacumowaniu mogliśmy oddać się błogiemu lenistwu. Do czasu jednak... Czekaliśmy nas jeszcze „przewlekanie” jachtu na lewą stronę - klar przed zmianą załogi. Po wypucowaniu jachtu znów mogliśmy zakosztować lądowego życia i... poszliśmy na plażę. Przygoda się skończyła...
Fot. Agnieszka „Agawa” Czernek